



## Włodzimierz Cieszkowski

część I z II

Sygnatura notacji: **N0336**

Data urodzenia: **31.07.1923 r.**

Data nagrania: **07.11.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Dom Opieki Pracowników Służby Zdrowia, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 38 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Włodzimierz Cieszkowski:** Urodziłem się w Ciechanowie 31 lipca 1923 roku. Mama walczyła w I wojnie, była tam w POW, krzyże dostawała itd. A ja się urodziłem, mieszkaliśmy w Ciechanowie przy ulicy Płońskiej 11. I co ważne, że jeszcze żyje jedna współwłaścicielka tego domu. Chora jest, spotykamy się z nią, też ma prawie 90 parę lat. Życie jest, jakie jest. Z Ciechanowa wyjechałem 26 sierpnia, bo mama została na 26 sierpnia 1939 roku wezwana do dowódcy 20. Dywizji Piechoty do Mławy jako komendantka powiatowa Związku Strzeleckiego w Ciechanowie. Jeszcze dwie panie też, z Mławy i z Pułtusza. Zostały zaprzysiężone jako łączniczki dowództwa dywizji. Bo już ta sytuacja była taka, jaka była. Jak mama wróciła z Mławy, wsadziła mnie w pociąg, zapakowała walizki i wysłała do Warszawy pospiesznym pociągiem do wuja. Bo wuj był w Ministerstwie obrony – Spraw Wojskowych, naczelnikiem Wydziału Farmacji. Ustalili telefonicznie, zresztą było zalecenie, że wszyscy do 18. roku młodzi chłopcy powinni wyjeżdżać na wschód. Tam będzie spokojnie. W związku z tym sytuacja była taka, że ja 26-go przyjechałem do Warszawy na ulicę Wilczą 11, gdzie mój wujek pułkownik Jabłonowski w Ministerstwie Spraw Wojskowych pracował. I okazuje się, że oni organizowali pociąg cały na wschód z lekarstwami. I zrobili w ten sposób, że jeden wagon pociągu dali dla młodzieży tej 17, 18, 19 lat, żeby właśnie z Warszawy wysiadać ich poza Warszawę na wschód. Ale dojechalibyśmy, to znaczy 6-go był wyjazd, załadowania tego pociągu. Ja się 6-go załadowałem w tym wagonie dla cywilnych ludzi. Ale dojechalibyśmy tylko kawałek, ponieważ były tory zbombardowane. To było lubelskie, gdzie pociąg się zatrzymał, bo dalej nie mógł jechać. Rozładowywali go i kilometr te paczki nieśli do następnego pociągu. Sytuacja była taka, że pan hrabia, który tam rezydował, miał majątek i miał trzy samochody, dwa osobowe, jeden ciężarowy. I pułkownicy, którzy tym pociągiem transportowali lekarstwa, podszli do niego, skontaktowali się z nim. On siedział w ogródku, a ja szedłem za tymi oficerami. Byłem w mundurze przysposobienia wojskowego, bo mieliśmy w czwartej klasie, po gimnazjum, przysposobienie wojskowe. Wobec tego

obowiązkowo czwarte klasy miały mundurki takie przysposobienia wojskowego. I ja byłem ubrany w ten mundurek. I słyszę, jak rozmawiają w ogródku z hrabią ci pułkownicy, mówi hrabia: „Proszę panów, ja mam tylko dwóch kierowców, to po co bierzecie trzy samochody?”. A ja słyszałem o tej rozmowie i podleciałem do nich, i mówię: „Panowie, ja mam prawo jazdy”, bo w kwietniu 1939 roku zrobiliśmy prawo jazdy, amatorskie co prawda. „To zameldujecie się rano i jedziemy do Lwowa”. Załadowali te trzy samochody i jechaliśmy. Jak pociąg ruszył z miejsca tam, gdzie był przeładunek tych leków, bo te leki były do szpitali wojennych. I w związku z powyższym ja ich zawiozłem do Lwowa. Tam mnie przesadzili na takiej, z półtorej tony nie było tam, 750 kilogramów można było, takie transportowe małe i to było przeznaczone na trzy te, dla trzech rannych.

### **Szymon Nowak: Na trzy nosze.**

**Włodzimierz Cieszkowski:** Przygotowane i mnie wsadzili do tego samochodu. I ja byłem przydzielony do Szpitala Wojennego nr 101 w Zaleszczykach. Bo w domu, gdzie był szpital, to był kiedyś dom wczasowy dla oficerów w Zaleszczykach. I czym prędzej przemianowali to na szpital i rannych transportowali z terenu tam lwowskiego itd. do tej części Szpitala Wojennego 101. A Zaleszczyki to punkt graniczny polsko-rumuński. A ja pamiętam rozmowę i spotkania pana szefa, młodego człowieka, Rumuna, on był, już nie pamiętam, czy prezydentem, czy miał być prezydentem, był z wizytą w Polsce. I został podpisany układ, że w razie potrzeby Rumunia przyjdzie z pomocą Polsce i będzie przyjmowała wojsko itd. jako państwo neutralne. W każdym razie sytuacja była taka, że ja z tego Lwowa przyjechałem tym samochodem, jeszcze dwa samochody przysły, te furgonetki takie, ale przygotowane do przewożenia rannych do Zaleszczyk. I ja z Zaleszczyk jeszcze te parę dni jeździłem, gdzie mnie wystali, i przywoziłem rannych. 16 września 1939 roku komendant szpitala, tego domu wypoczynkowego, coś się gdzieś dowiedział i mówi do wszystkich: „Panowie wszyscy, przygotujcie się, bo będziemy opuszczać ten szpital”. I okazuje się, że 17-go o 14.30 opuściliśmy ten szpital z rannymi do Rumunii. A o godzinie 13.30 przyleciało 11 samolotów niemieckich i nie bombardowali, tylko strzelali z karabinów maszynowych. Akurat ten dom miał trzy drzewa lipy takie śliczne, duże, że jak oni strzelali w te drzewa, to sytuacja była, że tak jakby śnieg leciał z tych drzew. Ale przelecieli, polecieli. I myśmy o 14.30 przekraczali granicę z tymi rannymi do Rumunii, do Czerniowiec. W Czerniowcach był szpital dla psychicznie i nerwowo chorych, gdzie nas skierowali. Jak ja zobaczyłem ten szpital, słuchajcie, wszystko beton, beton, beton, łóżka betonowe, bo to psychicznie chorych. Wobec tego nie mogli dać drewna, żeby nie było wypadków. I tam do nas, tu jest dokument, 18 czerwca, że co się stało. Wojsko, ten Szpital Wojenny 101 powypłacał pieniądze pracownikom szpitala. Ja dostałem 500 złotych przedwojennych i bank Rumunii się zgodził wymieniać po oficjalnym kursie te złotówki na leje. Ja dostałem i wszyscy, którzy dali pieniądze do wymiany złotówki, to dostałem 1000 lei. To już miałem na granicy właśnie leje, złotówki, że mogłem sobie w mieście, już w kraju, potem jak dalej pojechałem, coś kupić. Ale to był jedyny przypadek, że ta dyrekcja banku się zgodziła na wymianę ostatniego dnia, te 500 złotych, na rumuńskie pieniądze. I potem myśmy rannych już nie mieli, bo zostawiliśmy w szpitalu dla psychicznie chorych, oni tam wydzielili, oddzielnie zrobili. Tylko mówię, w ogródku ławka betonowa, schody betonowe. Schody betonowe do sal chorych. Bo to był strach, że mogą wyrwać i lać się. W każdym razie myśmy tam dostali pełną pomoc lekarską, medyczną dla tych rannych, cośmy przywieźli. W łóżkach takich, jakie były, ale samochody na drugi dzień zwolnili i myśmy odjechali z Czerniowiec do następnych budynków szkolnych, do Călimănești. W Călimănești tam już zaczęto organizować szkoły, gimnazjum. I rodziny były oficerskie, które z tego, na wczasach były w Zaleszczykach, wyjechali wszyscy do Rumunii. I właśnie tam były organizowane specjalne pomiesz-

czenia dla tych cywilnych pracowników. To znaczy nie pracowników, tylko internowanych cywili. I tam organizowane właśnie szkoły były, liceum, gimnazjum. Ponieważ byłem kierowcą i z tym samochodem przywiązany byłem i nie tylko ja, nie mogłem dłużej zostać. W Călimănești, miejscowość w Rumunii, myśmy z Călimănești, gdzie nas przetransportowali, powiedzmy, na odpoczynek, pojechaliśmy do Târgoviște. To jest miejscowość, Târgoviște, gdzie stworzono obóz oficerski i podoficerski, w koszarach starych tam, bo tak jeszcze wojsko mogło latać sobie i w mundurach, po cywilnemu. I sytuacja była tego typu, że nie było organizacji tego wojska internowanego. Ja z tego Târgoviște, posłuchajcie, w Târgoviște zacząłem dostawać pieniądze jako 16-latek, po 600 lei. Natomiast dorosłe osoby po 1500 na utrzymanie pełne dla nich. To znaczy mogli sobie wynajmować mieszkania u Rumunów i utrzymywać się za te 1500 lei. Policjant rumuński miał 1500 pensji, lei. To spotkanie prezydenta Rumunii w Polsce z naszymi władzami mi przypomniało, że akurat byłem zainteresowany tą obecnością pana prezydenta Rumunii w Polsce, że tak przyzwicie zostaliśmy załatwieni pieniężnie. I wojsko było w koszarach. Natomiast cywile mogli sobie mieszkać u prywatnych ludzi i gotować itd. Nikt się tymi ludźmi nie interesował. Owszem, zaczęły powstawać polskie stowarzyszenia różnego rodzaju. Ale to już Polacy zaczęli organizować w Târgoviște, bo tam dłuższy okres. A ja i jeszcze 3 czy 4 samochody pojechaliśmy, przetransportowali nas do koszar takich pancernych ich, gdzieśmy te samochody zostawili. I oni chcieli nas zabrać do wojska. To jak zwyczajowo wzięło się tych dwóch żołnierzy na herbatkę, wycieliśmy tam sobie. Ja uciekłem i ten drugi tam kolega, co ze mną był, uciekł. Mieliśmy pieniądze, kupiliśmy bilety i z powrotem do Târgoviște tam. I to pierwszy etap tego się zakończył. Natomiast znowu znalazłem pułkownika w ambasadzie polskiej, nie był oficerem, to znaczy oficerem był, natomiast nie takim etatowym pracownikiem, tylko brali go dodatkowo, bo cały szereg był roboty. I okazało się, że ten pan pułkownik miał syna w Warszawie, którego wujek protegował na medycynę wojskową. Jak dogadaliśmy się, że on pułkownika Jabłonowskiego zna, zrobili mnie komendantem grupy 15 chłopaków, dali mieszkanie i ja pilnowałem tych chłopców właśnie, którzy też młodociani, żeby ich potem odstawić i żeby zorganizowali mieszkanie. Nie tam się wąłę-sali, tylko mieszkanie ambasada znalazła, były łóżka, a ja byłem kierownikiem tej grupy piętnastu. Potem zrobili transport do Francji, w związku z powyższym mnie w pierwszej kolejności przygotowali do Francji. Sytuacja była taka, że ja jako ten 17-latek jeszcze mogłem przejechać pociągiem przez Włochy, bo już był stan wojenny we Włoszech, a młodociani mogli przejechać jeszcze. Wobec tego ja dostałem paszport polski, bilety do Francji. Dali tam do miejscowości, do Francji, a z Francji to już kierowali tymi uciekinierami z Polski Francuzi i Polacy, już wszystko było zorganizowane. I sytuacja była taka, że ja przez Jugosławię, Włochy jechałem do tej Francji do wojska. I słuchajcie, w pociągu włoskim spotkałem rodzinę. Ale nie swoją, tylko włoską. I była dziewczynka taka w moim wieku, córka tych państwa. I myśmy się jakoś dogadywali, ona troszkę po niemiecku, ja troszkę po francusku mogłem. I oni zaproponowali mi pozostanie we Włoszech, żebym ja był we Włoszech. Ale ja mówię: „Cholera, nie chcę we Włoszech”. Mam skierowania do Paryża do szkoły, liceum podparyskie tam. To co ja będę z Włochami rozmawiał, a tak pociągiem jechałem, w jednym wagonie, w jednym przedziale. Ta dziewczynka, bawiliśmy się, rozmawialiśmy się i im się to podobało, a okazało się, że oni mieli jakieś tam stanowisko, tata we Włoszech. I on mógł mi zrobić dobry pobyt we Włoszech. Ale myślę, że lepiej nie, lepiej zostać w tym. Jechać do Włoch, jechałem przez Włochy do Francji i na granicy, ponieważ miałem papiery z ambasady do szkoły w Paryżu, do tego liceum polskiego, to mnie na granicy oddzielili i skierowali pociągiem do Paryża. Jak się zorientowałem, o co tu chodzi, jak dojechałem do Paryża, to ja mówię: „Co wy? Ja do wojska”. Wróciłem z powrotem nad morze, tam, gdzie były jednostki organizacyjne Wojska Polskiego. Tak zostałem, powiedzmy, przydzielony do 2. Dywizji Strzelców Pieszych i kompanii kwatery głównej. A kompania kwatery głównej to była ochrona dowódcy dywizji. To wszystko chłopaki z Polski byli. Takie 20, 19, 22 lata, świeży, młodzi i bardzo tak ambitni. A dowódcą tej kompanii był,

okazuje się, Polak, Francuz, znający język francuski. A wtedy trzeba było znać język francuski, ponieważ kompania kwatery głównej była dosyć poważną jednostką. Ochroniała generała i sztab. Wobec tego w każdym razie myśmy byli w tej jednostce i służba taka początkowa była, że pełniliśmy wartę przed budynkiem i wejściami tam, gdzie dowódcy pułków mieszkali albo dowódca dywizji, zastępca dowódcy dywizji. Tak że to był taki początek mojej działalności wojskowej. A potem myśmy mieli szczęście, żeśmy byli od strony południowej jednostką 2. dywizji, zorganizowaną od strony Szwajcarii. Tam Niemcy szli od strony północy, morza i tam była 1. Dywizja Grenadierów. Tragicznie, w tysiącach ludzie ginęli w tej dywizji. U nas mało zginęło ludzi. To znaczy zginęło o tyle więcej, że Francuzi z naszej dywizji, z 5. pułku itd. zabrali do swoich jednostek żołnierzy. Bo Francuzi nie dawali rady. Natomiast 1. Dywizja Grenadierów poniosła straszne straty, kochani. Co się stało? Właśnie Niemcy szli z Niemiec, znad morza. Były dobre drogi. Linia Maginota akurat kończyła się 30 kilometrów od początku morza, od brzegu, kończyła z jednej strony, a z drugiej strony kończyła się też około 30 km od granicy szwajcarskiej. Tak że w zasadzie Linia Maginota w ogóle nie działała.

### **Szymon Nowak: Można było ominąć.**

**Włodzimierz Cieszkowski:** Niemcy szli z bronią pancerną, z ciężarówkami, uzbrojeniem właśnie nad morzem, a nie przy granicy szwajcarskiej, bo widocznie mieli uwagę: nie ruszajmy Szwajcarów, bo pieniądze są, każdy miał. I w związku z powyższym myśmy w obronie Francji, 2. dywizja, 1. dywizja, brygada Maczka walczyli. Normalnie około 70 000 Polaków zorganizowało się, a zorganizowani zostali skąd? Powiedzmy, Wojsko Polskie, które przeszło do Rumunii, a przeszło tam do Rumunii około 30 000 żołnierzy, z tego około 20 000 przeszło jakimiś drogami do tej Francji, to samo się zdarzyło, że do 1. Dywizji też z Węgier przeszli, do 1., do Francji, a najwięcej Polacy mieli wojska skąd? Rodziny polskie, które w II [pierwszej] wojnie światowej wyjechały do Francji po wojnie z dziećmi. I ci nie mieli obywatelstwa francuskiego. Starzy rodzice dostali obywatelstwo francuskie. Co było możliwe? Polacy, Londyn, władze londyńskie rządowe załatwiły z Francuzami, że WKR-y powstały, wojskowe komendy rejonowe, i miały spisy polskich młodych ludzi, których powoływali do Wojska Polskiego. Te dywizje i jednostki, które powstały we Francji w 1940 roku, to 70% to byli ci młodzi ludzie mieszkający z rodzicami we Francji. I poszli do tego. Tak to było organizowane. A sytuacja była, myśmy walczyli do 20 czerwca 1940 roku z Niemcami. I jak Francuzi, powiedzmy, mieli nowoczesną broń maszynową, ale ręczną. I Belfort, taka miejscowość, koniec Linii Maginota. Jak myśmy się dowiedzieli, że jest magazyn z bronią, a myśmy mieli z I wojny światowej karabiny. Owszem, były pięciostrzałowe, pchało się tam do magazynku pięć, ale nie zawsze te pięć wybuchło, tylko trzy itd. Bo to stare, z magazynów wojskowych zabrane było, rozbrojone było z I wojny itd. I sytuacja była taka, że właśnie myśmy jako 2. dywizja mieliśmy kontakt i walczyliśmy, mieliśmy kontakt z granicą szwajcarską w związku z tym. I te miejscowości broniliśmy wyliczone przez sztab francuski oczywiście. A jeszcze co ważniejsze, że np. 5. pułk, 6. pułk 2. dywizji musiał oddać żołnierzy Francuzom z uwagi na to, że coś tam im było trzeba, a nie było obrony. Wobec tego 20 czerwca myśmy dostali rozkaz z Londynu, że Francuzi podpisali 16 czerwca z Niemcami koniec działań wojennych. My walczyliśmy do 20 czerwca z Niemcami i dopiero 20-go dostaliśmy rozkaz z Londynu, że możemy przekroczyć granicę szwajcarską. A co ważniejsze, że 1. Dywizja Grenadierów, ta nasza, która takie straty poniosła, ona dostała rozkaz dopiero 23. Wiedzieli, że Polacy są nad granicą szwajcarską i że przedostają się, część dywizji. Dywizja 1. i 2. liczyły po 15 500 ludzi. Jak myśmy przechodzili granicę szwajcarską, to 12 500. Te 3 000 musieliśmy Francuzom oddać. I ta 1. Grenadierów przedostawała się do Szwajcarii. I tam co się działo? Różnie się działo. Przejmowaliśmy ich jako żołnierzy do niewoli. Część Polaków z 2. dywizji uciekała do Francji, do swoich mieszkań, a ci

w ich miejsce, na ich nazwiska, pozostawali w Szwajcarii. Tak że szeroko Wam opowiadam o tym, bo to jednak coś ciekawego jest. I w związku z powyższym myśmy jako 2. dywizja przeszli granicę 20 czerwca. Przeszliśmy, opieka na granicy była wspaniała pielęgniarska, rannych itd. I co ciekawe, że jak byliśmy, staliśmy jeszcze we Francji, ale nad granicą szwajcarską, to Szwajcarzy poprzehodzili do Szwajcarii, Francuzi do Szwajcarii. I sytuacja była taka, że my zdążyliśmy zrobić. Akurat był taki kapral, kucharz francuski, ugotował jedzenie dla tych wszystkich, którzy byli nad granicą szwajcarską. Szwajcarki, przyjmowali nas, to znaczy myśmy do końca, np. wystali mnie i jeszcze 10-u na tę miejscowość graniczną, puste mieszkania. Nie ma Szwajcarów, nie było niczego. I ten nasz Polak, ale był akurat od gotowania w restauracji, zrobił jedzenie itd. A ja już po wojnie, jak tam przyjechaliśmy w odwiedzinę, to zaprosiłem na szampana, to oni zapłacili, Francuzi, którzy prowadzili tę restaurację, w której myśmy to gotowali. To było takie trochę właśnie też zaprzyjaźnienie się z tymi obecnymi właścicielami, bo to się pozmieniało wszystko. I myśmy przeszli, akurat granica szwajcarska to była rzeka. Ale płytka woda była. W każdym razie miejscem naszego przejścia z Francji do Szwajcarii był most bardzo betonowy do wioski szwajcarskiej. I punkt graniczny, normalnie wojsko szwajcarskie było na granicy. I myśmy przeszli jednostkami, do wsi szwajcarskiej, gdzie tam opiekę zrobili nad tymi, którzy potrzebowali opieki. Ale potem nas skierowali do obozu Varen. Słuchajcie, to jest duży obóz na 6000 ludzi. Szwajcarzy chcieli mieć to wszystko w kupie razem, tych internowanych, ale potem doszli do wniosku, że to niedobre, bo Polacy mogą rewolucję zrobić i oni rady nie dadzą potem. W każdym razie z tych dużych obozów Varen to były baraki, wszystko szybko zbudowane, myśmy rozsyłali do różnych miejscowości. Noclegi były, sale restauracyjne przeznaczone na noclegi, na łóżka, na prycze. Kto miał swoje, to spał. I było podzielone to wszystko. Po 30–40 brali internowanych do danej miejscowości i już przeszli po rozum do głowy, że 6000 internowanych to jest za dużo. Słuchajcie, oni powołali rezerwistów, Szwajcarzy. To straszne, już nie pamiętam, ale bardzo dużo ludzi nie było, to były żniwa. Nie było możliwości, pobrali do wojska dla ochrony granic. To ci Polacy internowani byli wybawieniem żniw. Pokierowali do gospodarstw i Polacy robili żniwa. W każdym razie to było pierwsze spotkanie ze Szwajcarami, z cywilną ludnością, co było wspaniałe dla stosunków polsko-szwajcarskich, że ludność zaakceptowała nasze chęci do pracy, że się nikt nie objął, jeść robili. Mówię, to na wioskę 30-u było tych, to spora grupa ludzi i akurat mówię, czerwiec, żniwa i to wszystko. Tak że to się powoli unormowało. Unormowało się. Myśmy mieli w każdej miejscowości, wiosce żołnierza szwajcarskiego i podoficera. Tak że takie biuro było, pilnowało tych internowanych. I co ważne było, że na końcu granicy wsi, gdzie myśmy byli, to było napisane: „internowany, halt! (stój!)”, że nie wolno przejść poza ten napis internowanemu dalej, jak tylko do tego, bo chcieli to mieć w kupie, żeby internowani nie porozłazili się. Ale wszystko to się udało powołtuku, powołtuku, powołtuku i w 1942 roku został podpisany układ między dowódcą armii szwajcarskiej a dowódcą dywizji naszej, że Polacy będą bronić Szwajcarii w przypadku napaści czy Włoch, czy Niemców. I co potem się dowiedzieliśmy, to było wszystko w górach. Przygotowane były pomieszczenia w górach dla Polaków z bronią, ze wszystkim, tak że tam nie miał nikt wstępu, tylko, powiedzmy, to były zastępcze lokale dla obrony Szwajcarii przez Polaków. Tak Szwajcarzy coś kombinowali, ale się nic nie stało. Myśmy tam zabezpieczali granice też itd. Tyle to było, że Polacy byli potrzebni Szwajcarom w gospodarce normalnej, bo inżynierowie byli i robotnicy byli różnego rodzaju z zawodem, tak że to się wszystko tak rozluźniło, te stosunki. Owszem, Szwajcarzy pilnowali, żeby z kobietami nie za bardzo, bo to niedobrze, ale w sumie był porządek. Jedzenie było, noclegi były, kąpiele były, jak trzeba było. Były naprawdę warunki internowania wspaniałe. Co Szwajcarzy pozwolili? Że Polacy, a było ich około 1000 chętnych do studiów. Trzy uniwersytety Szwajcarzy dali: w Zurychu, w Bernie i Herisau. Tutaj techniczny, ekonomiczny i ten, gdzie Polacy na podstawie dokumentów naszych, nasi sprawdzali, mają prawo rozpocząć studia. I studiowali. Studiowali. Dyplomów Polacy zarobili szwajcarskich 570.

## **Szymon Nowak: Pan też studiował?**

**Włodzimierz Cieszkowski:** Ja nie, bo moja głowa była taka, że w 1944 roku, jak był desant z Anglii na Francję, nam wtedy pozwolili uciekać ze Szwajcarii. Bo tak to nie wolno było uciekać, dlatego że myśmy byli zapleczem dla Andersa i dla Maczka. Bo przecież tam poginęło dużo ludzi, a już nie było dopływu Polaków. W związku z powyższym sytuacja była taka, że ja uciekłem do Francji, ale też nie tak, że ja uciekłem, tylko mnie wyprowadzili. Polacy oficerowie mieli drogi specjalne do Francji i od razu kierowali do odpowiednich ruchów oporu, do jednostek różnych ruchów oporu. Mnie skierowali, tu mam dokumenty, porucznika nawet, tego pułkownika witali, po 1948 roku, Amerykanie. Bo to, okazuje się, była jednostka amerykańska pod dowódcą amerykańskim. Mnie przydzielili na co? Mianowicie byłem wywiadowcą oficerów niemieckich, podoficerów, tych branych do niewoli na szybko. Ja ich spowiadałem, gdzie co, jak jest. Przenosiłem się, jak Niemcy się cofali, to ja się przenosiłem do Belgii, do Holandii itd., do pewnego czasu. Potem już przestałem, bo już nie potrzeba było, a ja znałem niemiecki i francuski, wobec tego byłem potrzebny im, a zamiast iść, bo papiery złożyłem w Zurychu na medycynę i miałem zacząć studiować, to uciekłem walczyć we Francji. A normalnie ludzie zostawali w Szwajcarii i kończyli studia. I mówię, 670 czy 570 dyplomów ukończyli, doktoraty, różne tam i znaleźli pracę. Pojechali i w Ameryce pracowali itd. ci internowani. To był francuski ruch oporu pod dowództwem amerykańskim. Tu jest nazwa tego ruchu oporu i tu jest nominacja moja na pułkownika w 1948 roku. Generał amerykański podpisał, to znaczy nie pisali, że to są Amerykanie, tylko międzynarodowa, jednostka była międzynarodowa. I mnie tam skierowali, ponieważ potrzebowali właśnie z językiem niemieckim. To ja mógłbym, mówiąc dobrze po niemiecku, czerpać wiadomości od oficerów, których wzięto do niewoli. I to wszystko na gorąco szło. Wzięli, przysłali, ja spowiadałem, podawałem i to szło od razu na front, gdzie, co, jakie są jednostki, jakie uzbrojenie, jakie... To, co wojsku było potrzeba.

## **Szymon Nowak: A kiedy pan trafił do I Dywizji Pancерnej generała Maczka?**

**Włodzimierz Cieszkowski:** To znaczy trafiłem do tego, jak sytuacja była taka, że przecież front ten z Anglii szedł do przodu i Niemcy się cofali, wobec tego w pewnym momencie ja tutaj byłem, powiedzmy, miesiąc czy dwa w tym ruchu oporu, bo to się wszystko przesunęło. I sytuacja była taka, że nie potrzeba już było, bo to w czasie desantu z Anglii na Francję Polaków i innych jednostek, to wtedy było wszystko bardzo napięte, jakie wojsko, co mają itd. I ja byłem niezbędnie potrzebny, bo dobrze znałem niemiecki i nazwy broni, i nazwy wszystkiego, rozkazów. Oni przedstawiali dokumenty różne. Ja te dokumenty tłumaczyłem. Albo nie tłumaczyłem, tyle tylko, że to wszystko szło bardzo szybko do naszych jednostek, które walczyły z Niemcami. I to była pomoc taka właśnie partyzancka dla wojska naszego. Potem zostałem przeniesiony już do I Pancерnej. Dlaczego? Bo ludzi nie było, kierowców nie było. A ja byłem kierowcą i musieli jednak uzupełniać te swoje jednostki, prawda? Bo trzeba było czy z Anglii, czy z Francji żywność wozić, amunicję, broń do jednostek, które walczyły, nasze w Holandii, w Belgii itd. Ja z portów francuskich, gdzie już nie trzeba było specjalnie informacji, bo to nie dostawali więcej różnych specjalności wojskowych, tylko się cofali. Mielśmy już wiadomości o tym, co mają, jakie czołgi, jakie uzbrojenie. I to ja byłem potrzebny w pewnym momencie bardzo do tego, że pomagałem, jak pułkownika wzięli do niewoli niemieckiego czy, powiedzmy, poruczników, nawet żołnierzy. Bo od żołnierzy lepiej się dowiadywaliśmy nieraz jak od oficerów, bo nie chcieli mówić. Bo oficerowie jednak mieli: nic nie wiemy. Walczyli, owszem, ale co dalej, to nic.